

Mieczysław Jałowiecki

# Na skraju Imperium



i inne wspomnienia

CZY  
TEL  
NIK



Na skraju  
Imperium  
i inne wspomnienia



Mieczysław Jałowiecki

Na skraju  
Imperium  
i inne wspomnienia

Czytelnik • Warszawa 2012

Projekt okładki i karty tytułowej Maria Drabecka

Na okładce: dwór w Syłgudyszkach  
(rysunek według zdjęć archiwalnych)

Redakcja I wydania Andrzej Gordziejewski  
Redakcja nowej edycji Mariusz Zwoliński  
Redakcja techniczna Maria Leśniak  
Korekta Anna Piątkowska

© Copyright by Michał Jałowiecki, 2012

© Copyright for the Polish edition  
by Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”, Warszawa 2012

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik”  
ul. Wiejska 12a, 00-490 Warszawa  
Warszawa 2012. Wydanie I w tej edycji  
Ark. wyd. 44,5; ark. druk. 48,5  
Skład: WMC SC, Warszawa  
Druk: TZG ZAPOLEX, Toruń

ISBN 978-83-07-03278-8

Na cmentarzu katolickim w Jafie, między grobami Polaków z okresu drugiej wojny światowej, znajduje się dziwny nagrobek:

*ŚP. Jadwiga z kniaziów Jałowieckich, 1 voto Żukowska, 2 voto Lipkowska, ur. 1875 w Rostowie nad Donem, odznaczona Krzyżem Walecznych w Powstaniu Warszawskim, zm. 1951 26 XII.*

[...] Dlaczego [...] pozostała do śmierci w Izraelu?

I kim są kniaziowie Jałowieccy?

(Edward Nejman, *Rękopis znaleziony w Jafie*, „Polityka”, Warszawa, 18 kwietnia 1992 r.)





## Prolog

Kim są kniaziowie Jałowieccy?

Mojego dziadka po raz pierwszy spotkałem w roku 1957, na jednym z londyńskich dworców. Wydawał mi się bardzo stary, oschły i powściągliwy. Stał oparty o laskę. Stał znieruchomiały, wyobcowany, z pogardliwym wyrazem twarzy.

Na głowie miał szkocki beret, po którym go poznałem.

Obojętnością, niczym stary wódz Indian, odgradzał się od obcego mu tłumu, który opuszczał peron.

Zmierzył mnie pozbawionym sympatii spojrzeniem.

Dostosowałem się do gry. Poczuliśmy się obco, pełno było w nas wzajemnych uprzedzeń. On był dla mnie człowiekiem przegrany, a ja dla niego kimś niewiadomym.

Przyjechałem z kraju, który on uważał za komunistyczny, a systemu tego nienawidził. W swojej wrogości wydawał mi się jednak bezsilny. Nie przywiązywałem wagi do jego słów, tak jak on nie dostrzegał, że moje życie toczyło się w tamtym kraju i nie miałem innego wyboru. Jego nie interesowały moje plany, a mnie jego wspomnienia.

Moje pojawienie, zdaje się, zaburzyło mu spokój, a dla mnie spotkania z nim były raczej obowiązkiem. Dzielił nas wiek, przeszłość i jego brak przyszłości. Zasady i doświadczenie życiowe, które mógł mi przekazać, nie miały dla mnie żadnej wartości.

Łączyło nas tylko wspólne nazwisko, z tym że on podpisywał się dodatkowo Pieriejaśławski.

Według bowiem starych kronik i *Księgi Atlasowej Bojarstwa Rosyjskiego* protoplastą rodu kniaziów Jałowieckich był potomek wielkiego księcia Ruryka, książę udzielny Michaił Dawidowicz Pieriejaśławski. Je-

go prawnuk, który objął na Rusi Wołyńskiej włości jałowieckie, zaczął się mianować Pieriejaslawskim-Jałowieckim. Ja z takim nazwiskiem, w pierwszej połowie lat pięćdziesiątych nie dostałbym się na studia.

Był on jednak dla mnie ojcem mojego ojca. Ale z kolei mój ojciec był człowiekiem, którego prawie nie pamiętałem i który po prostu zginął w czasie wojny, jak niemal jedna trzecia ojców moich kolegów ze szkoły.

Dla niego byłem synem jego syna. Nie był jednak najtroskliwszym ojcem. Żeniąc się po raz drugi, pozostawił wychowanie swoich dzieci angielskiej guwernantce.

Nie było między nami ciągłości. On pogodził się dawno ze stratą syna, a ja byłem zbyt mały, by stratę ojca odczuć. On spędził wojnę w Anglii, a ja przyjechałem na wakacje z Polski, i to nie do niego.

Łączyło nas tylko to wspólne nazwisko, do którego on przywiązywał bardzo dużą wagę, a dla mnie było ono raczej kłopotliwe. Zmuszało mnie do wysiłku nad takim opracowaniem życiorysu, by mieścić się w grupie inteligencji pracującej. Wtedy w Polsce Ludowej było to bardzo ważne, jeżeli miało się jakieś aspiracje na przyszłość.

Zdaje się, że te parę spotkań ze mną sprawiło mu raczej przykrość. Kilka ugrzeczniczonych wizyt, bez jakiegokolwiek głębszego kontaktu i zrozumienia, musiało bardzo podkreślić jego samotność w angielskim „nursing home”.

W skromnym pokoiku znalazłem przy jego łóżku książkę telefoniczną Petersburga na rok 1916. Wieczorami odczytywał chyba z niej adresy znajomych i krewnych. Jakże musiał czuć się wyizolowany wśród emerytowanych oficerów z Indii, ich żon lub wdów w tym domu starców w hrabstwie Kent.

Próbował mnie zainteresować karierą naszej rodziny, której mierzynkami były nie tylko zaszczyty, ale i majątki pozostawione na Litwie, Ukrainie i w Rosji. Dla mnie jednak leżały one w republikach Związku Radzieckiego, w państwie, gdzie nie można było spodziewać się jakichkolwiek zmian. Tak jak Petersburg był już dla mnie nieodwracalnie Leningradem, tak dla niego Związek Radziecki pozostał Rosją Sowiecką, która przetrwała aż dotąd tylko dzięki koniunkturze ostatniej wojny, ale która upaść musi.

Drażnił mnie dziadek swoimi anachronizmami, a ja musiałem denudować go swoją pewnością siebie i brakiem tolerancji. W tym czasie

wolałem nie być obciążony jego przeszłością. Wierzyłem, że tacy jak on są „wyrzuceni na śmietnik historii”.

Wyczuwał moje nastawienie. Na pożegnanie wręczył mi bowiem list swojego ojca, pisany do niego przed pierwszą wojną, czyli jakby u schyłku epoki. List ten musiał mieć dla niego dużą wartość, skoro przechował go mimo tylu ucieczek. Spojrzał na mnie prosząco, bym przyjął ten dar, i wręczając mi go, zapłakał. Jakby przepraszając, że nie może mi dać nic więcej.

Trwało to chwilę, ale ta chwila zadecydowała, że list ten wziąłem ze sobą do Polski, ukrywając starannie przed celnikami. Mimo „Październikowych” zmian, w Polsce Ludowej nie tak wiele się w tym czasie zmieniło.

Po latach odwiedziłem moją ciotkę w Monte Carlo. Wręczyła mi archiwum dawno już zmarłego dziadka. Nalegała, bym je zabrał ze sobą. Bała się śmierci i spotkań pozagrobowych, dlatego natarczywie oddawała mi te papiery, by spełnić wolę swojego ojca. W przekazaniu dokumentów majątkowych, które wołą dziadka też mi się należały, była jednak bardziej powściągliwa.

Archiwum mieściło się w ciężkim, starym kufrze. Nie miałem wielkiej ochoty zabierać tej skrzyni do Belgradu, gdzie w tym czasie mieszkałem. W Jugosławii zaczynała się już wojna, a mój stały dom był daleko, bo aż w Australii.

Kiedy patrzyłem na kufer, przypomniałem sobie list wręczony mi przed laty. Ujrzałem proszące spojrzenie dziadka i te kilka łez, których się wstydził.

Zabrałem kufer ze sobą. Były w nim nie tylko dokumenty rodzinne, ale i kilkanaście tomów dziadka wspomnień, których pisaniem zabijał swoją samotność w Anglii.

Kiedy w końcu zabrałem się do czytania pamiętników dziadka, Związek Radziecki już nie istniał. Wspólnota Niepodległych Państw nie stała się Commonwealthem. Rosja pogrążyła się w chaosie, a Leningrad na nowo zaczął nazywać się Petersburgiem. Zacząłem czytać uważnie.

Czy w młodości nie byłem zbyt pewny siebie?

O tym, że to dziadek miał rację, przekonałem się osobiście, pracując przez pół roku na Ukrainie. Tam zdałem sobie dopiero sprawę, jak Rosjanie są genetycznie zniszczeni przez bolszewików, niezdolni już do wydania z siebie przywódców mogących uratować państwo od bankructwa.

Była nomenklatura, uwolniona z ucisku leninowskich zasad współzycia partyjnego, w sposób bezwstydnym i bez umiaru zaczęła się bogacić, kradnąc w ciągu paru lat zasoby całego narodu, a jednocześnie gardząc tym narodem.

Z niechęci do tych „noworuskich” postanowiłem wydać pamiętniki, by podkreślić, że oni nigdy nie zastąpią klas wyższych, które ich dziadkowie, rodzice albo oni sami zniszczyli.

Jako przedmowę wybrałem zaś wspomniany list mojego pradziadka, bo oddaje on nie tylko atmosferę stabilizacji i ładu, ale i poczucie obowiązku wobec własnej ziemi i własnych zasad tych tak opluwanych „pomieszczyków”, których błazeńsko próbują naśladować obecni nowobogacy, którzy po ich trupach doszli do swoich przywilejów.

List pisany był przez starego generała Korpusu Inżynierów Wojennych.

Zmęczony pracą generał postanawia wycofać się z publicznego życia i zamierza przekazać synowi część swoich obowiązków.

Generał osiągnął wiele. Był posłem do Dumy Państwowej, głównym inspektorem technicznym podróży cesarskich, budowniczym Kolei Rostowsko-Władykaukaskiej i Kolei Libawsko-Romeńskiej, właścicielem Towarzystwa Kolei Dojazdowych, współzałożycielem i dyrektorem Rosyjsko-Belgijskiego Towarzystwa Metalurgicznego, jednego z największych zakładów metalurgicznych Imperium Rosyjskiego.

Największą jednak pasją generała był rodzinny majątek, wykupiony po konfiskacie roku 1863, któremu generał poświęcał nie tylko swoje pieniądze, ale i uczucia.

*Petersburg, 1913 roku 14 stycznia*

*Mój Drogi Synu!*

*Już od lat kilku powziąłem myśl powolnej likwidacji wszelkich interesów, wobec znużenia i moralnej potrzeby pewnego wyzwolenia się z więzów nieustannej realnej pracy dla przeniesienia myśli w sferę abstrakcji i obiektywizmu. Ten świat nie był mi obcym przez całe życie i może dlatego w mojej pracy zawsze górowała idea potrzeb społecznych nad zdołączoną materialną dla siebie. Dla idei po ukończeniu akademii zrzuciłem mundur z siebie i stałem się robotnikiem na fabryce, dla idei prowadziłem fabrykę Aleksandrowską, która za mojego zarządu stała się środowiskiem inteligentnej technicznej pracy i wydała cały szereg wybitnych ludzi, dla*

*idei stworzyłem koleje podjazdowe i poprzecinałem nimi znaczną część kraju naszego; dla idei nabyłem Syłgudyszki, abyście Wy, dzieci moje, wyrosły w kraju i były zacynymi jego obywatelami. Dla idei wiele w życiu robiłem, dla wielu ludzi nowe drogi odkryłem i wiele ciężko zapracowanego grosza wydałem... Robiłem to bez hałasu, bez reklamy, ale dla tej idei, która mną kierowała!*

*Pomimo tej mojej ideowości, czyli dziwactwa, pomimo że wystąpiłem na arenę życiową bez grosza przy duszy i bez poparcia z góry, jednak nie zabrakło nigdy środków na potrzeby rodziny, na wychowanie Wasze i, powiem nawet, na życie rodziny w takich warunkach bytu, na jakie niewiele osób może sobie pozwolić. Mając jeszcze to na względzie, że nigdy nie wchodziłem w kompromis z sumieniem, że nigdy nie skalałem rąk moich jakimś podejrzanym zarobkiem, mogę teraz wypowiedzieć z pewną dumą, że praca moja była produkcyjną!*

*Może pozornie byłem wobec ludzi i wobec Was, dzieci moje, za mało ekspansywnym, co poniekąd mogło wywołać niestuszną podejrzliwość Waszą względem zamiarów moich na przyszłość, ale to stało się wynikiem warunków, które od dzieciństwa mego, od dziesiątego roku życia postawiły mnie tak, że sam musiałem sobie radzić i torować drogę przez życie. Tą ujemną stroną charakteru mego, zamknęciem się w sobie, może najbardziej zawiniłem przed Matką Waszą, którą zawsze bardzo kochałem, a pomimo to wiele razy nie umiałem czy nie mogłem przed Nią wywnętrzyć się i podzielić się myślami moimi, co i mnie samemu przyniosłoby ulgę moralną wobec wyjątkowej inteligencji, dobroci serca i kryształowo czystych etycznych pobudek jej duszy. Prawdopodobnie, że i warunki życia naszego, prawie na połowę w separacji, wskutek wyjazdów Matki z Wami na wieś lub dla zdrowia za granicę, gdy ja musiałem pozostawać na posterunku, złożyły się na spotęgowanie osamotnienia wewnętrznego świata mego.*

*Rozmyślając teraz, skąd powstała w Tobie obecna bolesna nieufność i gorycz do nas, przychodzi do wniosku, że źródło tkwi w tej, niby tajemniczej, księdze mego wewnętrznego świata, która zdaje się być zamknięta na kłamry dla Ciebie i budzi najniestusniejsze podejrzenia; gdy tymczasem ta księga żadnych dla Ciebie ujemnych stronic mało, że nie posiada, ale przygarnia Cię całym sercem kochającego Ojca. To samo mogę powiedzieć o najzacniejszej i najlepszej Matce Waszej.*

*Dotąd nie mogę całkiem otworzyć tej mojej książki przed Wami do zupełnej likwidacji wszystkiego, bo i sam jeszcze nie wiem, co ostateczny bilans wykaże, ale obecnie, rozpoczynając powolną likwidację, otwieram przed Tobą pierwszą stronicę aktywy przyszedłego bilansu, na której wyraźnie wpisuję Syłgudyszki z Powieźynciem, Azuprudziem, Pogałoniem i Kukuciszkami nierozdzielnie jako jedną wartość materialną i zarazem niepodlegającą oszacowaniu wartość moralną, zdobytą kosztem najświętszych dla mnie ideowych pomysłów, połączonych nierozzerwalnie z całym moim wewnętrznym światem duchowym, obejmującym kraj cały i sięgającym aż do abstrakcyjnych mgławic istnienia.*

*Spadkobiercą tej wartości z woli mojej i Matki Waszej masz Ty pozostać, jako nasz ukochany syn jedyny, bo obie siostry Twoje, po wyjściu za mąż, mają już własne gniazda i my poczuwamy się tylko do moralnego obowiązku stawać im z pomocą i wnieść w ich gniazda duchową łączność z Syłgudyszkami...*

*Ufam, że ta łączność łatwo osiągnięta będzie, bo dobrałeś sobie za towarzyszkę życia osobę, która stała się tak bliska sercu naszemu jak najukochańsza córka rodzona i dlatego pragnąłbym, aby list obecny był odczytany wspólnie z Tobą przez Julę i żeby nadal żadna urojona chmurka serc naszych nie rozdzielała.*

*Bogiem a prawdą, ja i Matka szczerze Was kochamy i całym sercem Wam oddani jesteście, a pewne różnice w poglądach na sprawy społeczne są tak naturalne, że nie mogą dawać powodu do jakichś rozterek – byleby środki do celu wynikały z uczciwych pobudek, bo zasadniczy cel życia zawsze wspólny nam będzie – dobro kraju i narodu!*

*Co zaś do różnicy usposobień i temperamentów, to one chyba nadal nie będą wpływały na serdeczność i szczerść wzajemnych stosunków naszych, gdyż każdy z nas żyć będzie swoim dworem, nie krępując w powszednim obejściu.*

*Otóż, mój Drogi, wychodząc z tego, co wyżej napisałem, i mając na względzie, że Syłgudyszki ze wszystkimi folwarkami mają niegdyś być Twoje, dałem już pierwszy początek likwidacji moich czynności w ubiegłym roku, przelewając na Ciebie moje prawa co do udziału w wyborach do Dumy Państwowej i występowaniu na mocy mego cenzusu w sprawach społecznych. Teraz zaś chcę Ci oddać Kukuciszki i Pogałonie, abys tam gospodarzył zupełnie samodzielnie, pozostawiając sobie tyl-*

ko opiekę nad lasami i prawo spaceru oraz korzystanie z salki w domu pogalońskim.

Podatki i ratówki bankowe ja będę nadal opłacał, jak opłacałem dotąd. Chcę też w Kukuciszkach i Pogaloni resztę pustych miejsc zalesić. Oddaję więc Ci Kukuciszki i Pogalonie w lepszym znacznie stanie, niż w jakim je nabyłem, bo masz już wszystkie łąkowe przestrzenie skanalizowane, wykarczowane i w znacznej części zorane. Pozostawiam Ci bydło, konie i cały gospodarski inwentarz i możesz być zupełnie pewnym, że do niczego w gospodarstwie Twoim wtrącać się nie będę. Gospodaryć więc będziesz na swoje ryzyko w sposób, jaki Ci się podoba, aż do wydzierżawienia całości lub kawałków gruntów, bez obciążania jednak folwarków długami. Co zaś do leśnych przestrzeni, to takowe jak w Kukuciszkach, tak i w Pogaloni pozostaną w moim rozporządzeniu i leśników ja opłacać będę.

W taki sposób otrzymujesz Kukuciszki i Pogalonie bez żadnych ciężarów, ale w zamian za to proszę mieć oko nad leśnikami i oko nad moim gospodarstwem w Syługudyszkach z Powieżynciem i Azuprudziem, co wynika z natury rzeczy, bo z czasem będziesz dziedzicem na całych Syługudyszkach, a więc jako i syn, i spadkobierca winienes interesować się wszystkim i być mi pomocą, bo coraz mi jest trudniej z Petersburga dojeżdżać, jak robiłem dotąd, a widzę konieczną potrzebę częstszej i ściślejszej kontroli czynności syługudyskiej administracji.

Myślę rozstać się z Niezabitowskim, bo dla samych Syługudyszek z Powieżynciem i Azuprudziem Niezabitowski jest za drogi i w dodatku żaden z niego administrator. Jest on niechluj, brudas, nieporządny i nieorientujący się w wydatkach.

Jeżeli ten mój list i ta moja propozycja odpowiadają zapatrywaniom Twoim, to racz bez zwłoki odpowiedzieć, a wtenczas umówimy się, na kiedy mamy zjechać się w Syługudyszkach dla uregulowania wszystkiego. – W innym zaś razie zmuszonym będę postąpić tak, jak wypadnie, nie bacząc na nic.

Kończę mój ten list w najlepszych zamiarach, przesyłając stokrotne uściśnienia Was obojga z Andrzejkiem.

Wasz bardzo kochający  
Ojciec

Jest jeszcze jeden aspekt tego listu.

Gdyby nie Niemcy, opisana sytuacja byłaby punktem wyjścia do dalszej kariery naszej rodziny.

Mój ojciec, wspomniany w liście małej Andrzejek, mając lat trzydzieści dwa, umiera w niemieckim obozie koncentracyjnym Majdanek.

Tadeusz Garczyński we wspomnieniach *Więzień nr 3873* tak opisuje jego śmierć:

*Któregoś dnia chorym pozwolono zabrać po dwa koce i owinąć się nimi. Zdrowsi poszli pieszo, bardziej chorych przewieziono wozem. Na leżałem do drugiej partii, nie mogłem chodzić. Zajechał wóz zaprzężony w kolegów pod komendą kapo Mistelbergera. Wrzucono mnie. Wydrapałem się spod stosu ciał ku górze, siadając na krawędzi drabiny. Pod moimi nogami ktoś zaśpiewał kabaretową piosenkę francuską... Jałowiecki. Gorączka spadła mu do 37 stopni, ale przytomności nie odzyskał. Okryłem go jako tako kocami. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że jest okryty, że pada śnieg z deszczem. Ruszyliśmy. Wóz grzęznął w błocie międzypola. Ciągający nie mieli ochoty włożyć w największe kałuże, kierowanie dyszłem szło nieskładnie. Ktoś zleciał z wozu, ktoś go klął i wrzucił z powrotem. Jechaliśmy pół kilometra dobre pół godziny. Jałowiecki śpiewał. Odezwałem się do niego.*

*– Przepraszam – mówił – nie poznaję pana.*

*– Panie Andrzeju – tłumaczyłem – zaraz położą pana do łóżka, przykryją, odpocznie pan i będzie dobrze.*

*– Ach! Przypominam sobie... Już muszę odejść, ale zobaczymy się na pewno.*

To były ostatnie słowa mojego ojca.

Poza wspomnieniami nic nie pozostało z całego, wielowiekowego dorobku rodziny. Mieszkam aż w Australii, bardzo daleko od rodowej ziemi.

Dlatego książkę tę dedykuję niemieckim wypędzonym, przypominając, że także miliony Polaków i Rosjan do dzisiaj są ofiarami niemieckiej ekspansji na wschód.

*Michał Jałowiecki*



# **Na skraju Imperium**



## Niegdyś

Nasza rodzina należała do domu Rurykowiczów, a to w Rosji znaczyło bardzo dużo.

Czuliśmy się jednak Polakami, a to w Rosji bardzo przeszkadzało.

Moja babka, Szkotka z urodzenia, była niezwykle przywiązana do szkockich tradycji, a mój dziadek i my wszyscy byliśmy katolikami o silnym poczuciu polskiej kultury i katolickiej filozofii.

To rozwarstwienie, jakie odziedziczyłem, czułem przez całe moje późniejsze życie.

Rodziców widywałem mało, za to babka kształtowała moją dziecięcą osobowość. Babka była z natury małomówna, ale czasem w rzadkich chwilach dobrego humoru umiała się rozkrochmalić, a wtedy opowiadała mi o historii swojego klanu, o zamkach w dalekiej Szkocji i o krwawej bitwie z Anglikami, którą MacDonaldownie przegrali. Mówiła o emigracji szkockich rodzin, kiedy to jej przodkowie zaciągnęli się, za saskich czasów, na służbę w cudzoziemskim autoramencie. Opowiadała mi, jak to dostali oni indygenat polski, gdyż pochodzili od szkockich wodzów, władców wysp zachodnich. W jej słowach pełno było gniewu na Anglików za to, że wypędzili tylu Szkotów, okupując ich kraj. Wyczuwałem u niej tę samą niechęć, jaką w domu rodziców darzono Rosjan.

Babka moja nigdy mi nie wyjaśniła, jakim sposobem Szkoci dostali się do tego najbardziej zapadłego zakątka Litwy, gdzie się urodziłem i wychowałem. Jako student dopiero odkryłem, że rodziny MacDonaldownów z przydomkiem MacBury, po polsku Bury, i rodziny Davidsonów figurują w kronikach kościoła parafialnego w Sugintach już pod koniec XVIII wieku, a że umieli się dorobić, świadczyły liczne fol-

warki, lasy, młyny i gorzelnie należące przeważnie do MacDonaldów, gdyż Davidsonowie na początku XIX wieku opuścili suginckie strony.

MacDonaldowie z klanu Ranalda o wezwaniu „Gainsay who dare”, jakie zapamiętałem z dzieciństwa, siedzieli twardo i zażywnie na Liliszkach, Anomyślu i innych folwarkach, skrzętnie dokupując co pokolenie ziemię, lasy, jeziora, aż wreszcie większość parafii suginckiej i duża część kukuciskiej znalazły się w ich gospodarnych rękach.

Ludzie się ich bali, bo byli zادیorni, nosili się z wysoka i krzywd swoich nie zapominali.

Babka moja miała jedynego brata, Józefa, dziedzica dużej fortuny, chudego szlachcica o suchej, jastrzębiej twarzy.

Co parę miesięcy przed ganek naszego dworu w Syłgudyszkach zajeżdżała, zależnie od pory roku, karetą lub powóz zaprzężony w cztery rosłe, świecące brązami, karogniade klacze, ze stangretem w liberii i służącym na koźle.

Wizyty były bardzo uroczyste. Dziad Józef w długim surducie i rękawiczce na lewej ręce zasiadał na kanapie i rozmowa toczyła się przeważnie o sprawach politycznych. Mówiono w trzeciej osobie, a zapytania skierowane pod moim adresem nie wychodziły nigdy poza konwencjonalnie zakreślone granice. Czasami pokazywano mi w trakcie tych wizyt różne stare sztychy i ryciny, na których figurowały dziwacznie ubrane postacie szkockich wojowników.

– Pamiętaj – ostrzegali mnie obydwójce – że jesteś potomkiem tych dzielnych ludzi i nigdy nie bądź mazgajem.

Babka dodawała jeszcze przestrożę: – Nie pchaj się na pierwsze miejsca, ale i nie pozostawaj w tyle. – A dziadek Józef dokańczał, bym w życiu stał sobie twardo gdzieś z boku, ale i nie pozwalał, by ciosano mi kołki na głowie: – Bo to i nie po męsku, i nie po szkocku.

Powstanie 1863 roku zrujnowało naszą rodzinę doszczętnie. Byliśmy na skraju przepaści. Dziad mój za czynny udział w powstaniu miał zostać zesłany na Sybir, lecz uratowały go dramatyczne starania babki, a także wstawiennictwo możnych krewnych, książąt Wołkońskich.

Cały posąg babki, i to przy wydatnej pomocy pieniężnej dziadka Józefa, poszedł na ratowanie majątku, na wykupienie jej męża, na wychowanie dzieci. Jednak ocalenie naszej rodziny od upadku zawdzięczaliśmy

nie tyle pieniądзом, ile żelaznej woli i rozwadze, z którą babka prowadziła mojego dziada i swoich synów.

Mój ojciec<sup>1</sup> za namową babki odkupił później nie tylko dawne ziemie skonfiskowane po powstaniu, ale i znaczną część parafii kukuciskiej i łabonarskiej.

Moją babkę ze strony matki – Elwirę z Szemiothów Witkiewiczową, marszałkową szawelską – sąd polowy w Szawlach skazał po powstaniu na karę śmierci. Dopiero przez wstawiennictwo jej ciotecznego brata, szambelana dworu, hrabiego Adolfa Czapskiego z Berżan, karę śmierci zmieniono na zesłanie na Sybir, a dobra mego dziadka Ignacego Witkiewicza, Poszawsze, leżące w powiecie szawelskim, skonfiskowano. Dziadkowie ci spędzili wygnanie w Tomsku na Syberii, zanim w pięć lat po powstaniu zostali ułaskawieni.

Towarzyszyły im na wygnaniu starsze dzieci: Stanisław, późniejszy znakomity malarz i krytyk, oraz córki Maria i Eugenia. Matką moją zajęła się zaś siostra dziadka, generałowa Suchorzewska z Urdomina na Suwalszczyźnie oraz wuj Franciszek Szemioth, emigrant powstania 1831 roku, który mieszkał stale w Paryżu. Matkę ulokowano w szkole angielskiej Aux Dames Anglaises pod Paryżem, skąd wróciła do kraju w latach siedemdziesiątych, nie zobaczywszy już nigdy swojego ojca.

Dziad Witkiewicz zmarł w drodze powrotnej na rzece Ob, a babcia moja po powrocie zamieszkała na Suwalszczyźnie, skąd często odwiedzała nas w Syługudyskach. Od niej to dowiedziałem się wiele o powstaniu i o powstańcach, i o egzekucjach, których była świadkiem.

Na jej oczach, na placu miejskim w Kownie, wykonano wyrok śmierci na księdzu Antonim Mackiewiczu. Jej starszy syn, postrzelony w głowę i skazany na śmierć, zdołał zbiec do Francji. Jako oficer brał potem czynny udział w wojnie francusko-pruskiej i przetrwał oblężenie Paryża.

Myślę, że jej opowiadania zaciążyły na moim późniejszym stosunku do Rosjan, gdyż w domu moich rodziców unikano poruszania tego tematu, który mógł doprowadzić do ostrej różnicy zdań.

---

<sup>1</sup> Rodzicami Autora byli: ksiądz Bolesław Pieriejaślawski-Jałowicki (ur. w 1843 r.), syn Antoniego i Anny z Burych, oraz Aniela Tekla z Witkiewiczów; miał dwie siostry: starszą od siebie Jadwigę, czyli Adę (ur. w 1875 r.), i młodszą Anielę (ur. w 1885 r.) (przyp. MZ).

Zauważyłem, że wszyscy byli powstańcy niechętnie mówili o powstaniu i unikali opowiadań o swoich przeżyciach. Nie krytykowano powstania ani powstańców, mówiono o nich z szacunkiem, ale mimo to uważano rok 1863 za wielkie nieszczęście narodowe.

Rosjanie natomiast drażnili mnie później swoją kompletną obojętnością na nieszczęścia, których byli przyczyną. Na przykład w pamiętnikach Lwa Tołstoja, tego wielkiego sumienia Rosji, nie znalazłem ani jednej wzmianki o cierpieniach Polaków. A przecież po powstaniu tysiące Polaków włączonych było etapami przez Rosję na Sybir i tak wielki pisarz nie mógł tego nie zauważyć.

Syługudzki nasze leżały w dawniejszym powiecie święciańskim, na pochyłości będącej jakby pograniczem dwóch światów.

Za oknami dworu syługudskiego ciągnęły się ku południowi, w dal, jak morze przesłonięte niebieskawą mgłą, ciemne bory Puszczy Łabonarskiej. Ten las sosnowy rozciągał się bez przerwy na przestrzeni niemal stu wiorst, od Wilna aż po brzegi jeziora Jesiata [Ejsiata]<sup>2</sup> należące do Syługudzysek.

Na zachód i północ od Jesiaty krajobraz się zmieniał. Pokryte puszcza płaszczyzny przechodziły w malowniczy, pagórkowaty, porośły gajami i dębina oraz bogaty w jeziora kraj górnej Litwy.

Parafia nasza, ciągnąca się na południe, obejmowała znaczną część leśnego kraju. Wieś Łabonary leżała w środku puszczy na polanie otoczonej z czterech stron borem. Kościółek górujący nad okolicą, położony na wzgórzu, sypanym ongiś w czasach przedhistorycznych ręką ludzką, powstał dopiero w drugiej połowie XVII wieku jako fundacja biskupów wileńskich, dawniejszych właścicieli i gospodarzy tego kraju.

Łabonarszczyzna wraz z przyległymi parafiami była ostatnim zakątkiem na Litwie, dokąd przeniknęła wiara chrześcijańska.

Otoczony długim łańcuchem jezior, nieprzebytymi obszarami błot i lasów, kraj ten przez długie wieki pozostał jakby nietknięty ręką cywilizacji, jakby zastygły w swym pierwobycie, strzegąc zazdrośnie dawnych swych bogów, zwyczajów i przesądów.

---

<sup>2</sup> Oboczności nazw podane w nawiasach kwadratowych pochodzą od redakcji.

Przez długie lata chrześcijaństwo szło tu w parze z zachowaniem dawnych obrządków pogańskich, a święta katolickie w sposób przedziwny stopiły się pojęciowo z dawnymi uroczystościami poświęconymi bogom i boginiom litewskim, tak że nawet święta katolickie nazywano w dawnym narzeczu pogańskiej Litwy.

Święta, związane przeważnie z imieniem Matki Boskiej, obchodzono bardzo solennie, ale i z pewną podświadomą domieszką pogańskich obyczajów.

Najbardziej uroczystym świętem w naszej parafii było Narodzenie Matki Boskiej, obchodzone w dniu 8 września, a zwane z litewska „Łabonarynie”.

Święto to było połączone z jarmarkiem oraz odpustem i był to bodaj jedyny dzień w roku, w którym zjeżdżano się do tego leśnego odludzia z dalekich okolic.

Właściwie nikt z ludności miejscowej, oprócz proboszcza i zakrystiana, nie potrafił wytłumaczyć, co to było za święto. Człowiek miejscowy, spytany przez przybysza o przyczynę uroczystości, zamiast odpowiedzi udzielał tylko pogardliwego wzruszenia ramionami i dziwił się, że są na świecie ludzie, którzy nie wiedzą, co to jest „Łabonarynie”.

Święto było związane z różnymi obrządkami. Palono w puszczy wielkie ognie, śpiewano dawniejsze zapomniane pieśni, a starzy ludzie grali na tak zwanej dudzie łabonarskiej, czyli kobzie, gdyż sztuka grania na dudzie zachowała się jedynie w tej zapomnianej parafii.

Przy ogniskach tańczono dawniejsze tańce litewskie, jak „suktinis” czy „ratas”, a starzy opowiadali różne legendy z pogańskich czasów. Na próżno proboszczowie łabonarscy starali się wykorzenić niektóre pogańskie zwyczaje, ale nie mogli aż do lat ostatnich przełamać zabobonów i tradycji.

Nie mniej uroczyście obchodzono Zielone Świątki zwane na Litwie „Sekminias”, a także dzień św. Jana. Święto Zwiastowania zaś wypadło w dniu pogańskiego święta Bogini Wiosny, „Laumie Josta”.

Dziwny to był kraj ta Łabonarszczyzna, kraj na poły pogrążony w legendzie, na poły w jawie, kraj cichy, leśny, w którym człowiek tracił świadomość czasu i rzeczywistości. Kraj zamknięty w sobie, a tak mało dostępny.

A jednak kiedyś, w pomroce dziejów, musiało tu być ludno. Jakieś

nieznane plemiona i nieznane moce ścierały się tu między sobą w gorących a krwawych walkach. Świadczą o tym liczne kurhany i mogiły ciągnące się kilometrami w Puszczy Łabonarskiej. Nikt nie wie, z jakiego czasu, z jakiego poboju powstały owe okrągłe, otoczone wieńcem kamieni, kopczyśka. Nikt się tym nie interesował.

Czasem chłop puszczański, drapiąc sochą pogorzeliśko, wyorywał jakieś brązowe dziwołagi, ale co prędzej rzucał je z powrotem i zagrzebywał w żwirze, aby czasem zło nie urzekło.

Gdzieś, kilkadziesiąt kilometrów dalej, pędziły z hałasem pociągi, kołowało się w mrowisku ludzkim, ale tu panowała majestatyczna cisza, przerywana jedynie szumem boru, dalekim krakaniem kruka przelatującego ponad lasem lub kwileniem jastrzębi.

Po stronie północno-zachodniej pojezierza łabonarskiego kraj stawał się ludniejszy, rozsiadły się tam liczne, ukryte w zieleni sadów zamozne wsie. Raz w raz strzelała w górę wieżycy kościoła lub nad jeziorem białały mury jezuickiej fary. Ale i tutaj ciągnęły się nieprzerwanym łańcuchem od brzegów dolnego Niemna wzgórze sypane ręką ludzką: dawniejsze strażnice, po litewsku zwane „pilakalnis”.

Służyć one miały do dawania znaków, do sygnalizowania ruchów krzyżackich, tak że gdy gdzieś pod Rosieniami, na głębokiej Żmudzi, zapalono na wzgórzu pierwszy ogień, to Litwa cała zaczynała płonąć tysiącem ogni aż po obronne mury Nowogródka. Chowano się w takich chwilach z dobytkiem po niedostępnych uroczyskach leśnych lub wyspach otoczonych obszarem błot i trzęsawisk.

W okolicach Syługudyszek znajdowało się kilka takich „pilakalnisów” mających formę wału otoczonego fosą. Na szczycie tych kopczyśk znajdowano zwykle sporo popiołu, węgla, opalonych ogniem głazów, a czasem zardzewiałe toporki i krótkie miecze.

W odległości ośmiu wiorst na północ od Syługudyszek, na wzgórzu pomiędzy dwoma jeziorami o jakiejś dziwnie zielonawej a przezroczystej toni, leżała kościelna wieś Tawrogin [Tauruginy].

Setki podań krążyły po okolicach o tych Tawroginach. Podobno bardzo dawno temu miało tam być wielkie miasto, które pochłonęły jeziora. Ludność tej wsi twierdziła, że w księżycowe noce słyszą głos dzwonów dochodzących z głębin wodnych.

O kilka wiorst na zachód od wsi wznosi się góra, będąca najwyższym



miejszem na Litwie. Na szczycie widać zwaliska jakichś budowli i gruzy gładów i cegły. Góra ta nosi nazwę Tawropilis.

Znajdowano tutaj liczne ozdoby brązowe o wyraźnych cechach fenickich, co świadczyło, że w dawnych czasach Tawroginy leżały na wielkim szlaku handlowym pomiędzy Morzem Bałtyckim i Śródziemnym.

Nie ma chyba kraju europejskiego z wyjątkiem szkockiego Highlandu, gdzie tyle znajdowało się miejscowości, z którymi związane były legendy i opowiadania o strachach i duchach.

W naszej parafii pełno było miejsc, których unikano nocą jak zarazy. Straszyło i u nas w Syługudyskach, i na pobliskich mogiłkach, i na gościńcu koło pagórka, i na rzece Kiemeszce, i na brzegach jezior Jesiata oraz Laumesta [Łaumiesta].

Najbardziej bałem się jednak psów leśnych i dworu w Antołomieściu.

O psach leśnych dowiedziałem się od Wincentego Kopalińskiego, rybaka i dzierżawcy naszego promu na jeziorze Jesiata, kiedy z dziadkiem łowiliśmy tam ryby.

Toń jeziora była tego dnia gładka i nieruchoma i jak lustro odbijała lesiste brzegi.

Cisza zaległa nad wodami i puszczą, tylko gdzieś daleko nad borem odzywało się kwilenie jastrzębia.

Ryba przestała brać. Ani żarłoczny okoń, ani srebrnołuska płotka nie tknęły przynęty. Spławiki leżały leniwie na powierzchni wody. Zbierało się na burzę. Z zachodu, od strony Styrni i Łabonar, niebo zaciągało się ogromną czarną chmurą. Potem zerwał się wiatr, sfałdował powierzchnię jeziora, nadbiegły wielkie, pokryte pianą fale.

– Panoczku – rzekł Wincenty do mojego dziadka – nie dopłyniemy już do Syługudyszek, trzeba zjechać do mojej chaty i przeczekać burzę... Czy wielmożny pan słyszy?

Dziadek nadstawił ucho. – To puszcza szumi – rzekł jakby nieobecny.

– Nie, panoczku, to nie tylko sama puszcza – w głosie Wincentego wyczuwało się trwożę. – Puszcza tak nie szumi. To psi leśne wyją, idąc na żer. – A po chwili dodał: – Nie daj Boże w ta pora do nich trafić.

– Niech Wincenty o psach leśnych teraz nie opowiada – zniecierpliwził się dziadek. – Trzeba zdążyć przed deszczem.

Wincenty poczuł się tą krótką uwagą urażony i gdy znaleźliśmy się w chacie, ostro naparł na dziadka, że dziadek mu nie dowierza:

– Wielmożny pan sam nieraz mnie deklarował, co nasza parafia łabonarska była ostatnia nawróciwszy się na wiarę Chrystusową. W tamta pora, kiedy już wszędzie na naszej Litwie naród zaczął żyć pod błogosławieństwem Bożym, to w naszej parafii łabonarskiej jeszcze pogańskie paskudztwo i zabobon był panowawszy. Z tą to przyczyną wszystkie, za przeproszeniem, złe duchy, czy jakie inne myszkulancje byli uciekający z tamtych stron i zagnieździwszy się w naszej puszczy, a w tej ich moti tak byli i psi leśne.

– Panoczku, już lepiej niech on nie gada o psiach leśnych – zegnając się pobożnie, przerwała Wincentowa. – Jeszcze nie daj Boże urzeknie i napędzi zło, a do tego nastraszy panicza.

Wincenty machnął tylko ręką na jej uwagę i twardo patrząc, przekonywał dziadka.

– Puszcze tu były dawniej haniebne, dróg nijakich, czasem bywało rok minie, zanim się kto od strony Uciany przez prom przepawi, to i psi leśne tutaj się zagnieździły.

– A jak wielmożny pan był młodszy – dowodził dalej – pamiętam, jak na parę lat przed powstaniem byli my z panem zabłądziwszy i doszli aż do tego jeziora, co to naród nazywa „Wielniu Upie”, diabelska rzeka, na samym środku rojstu, to w tamtym miejscu całe ich łęgowiska, tych psów leśnych... Jak kiedy powietrze dobre, tak ich nie ma, tych psów leśnych, można spokojnie jechać czy iść przez środek puszczy, ale nie daj Boże, kiedy podwórz zhardzieje i przyjdzie burza jak dziś albo zawierucha zimą koło Gromnicznej, to czy człowiek, czy jaka inna żywiola pod nich trafi, tak tylko zawyją i w drobne podrą... Za mojej pamięci niejedyn człowiek zginąwszy od tego paskudztwa i niejedyn koń przepadł – zamyślił się.

– Tak, znaczy się, wielmożny panie, człowiek niby to w mojej bytności całe życie siedząc nad jeziorem, i to takim jak Jesiaty w środku puszczy, na różne rzeczy napatrzył się i na różne rzeczy nasłyszał się – dodał po chwili.

– A może to zwykle wilki tak czynią? – spytał dziadek.

– Nu, co to, to nie, panoczku – szybko zaoponował Wincenty. – Wilk, tak on nie trzyma swojej meta, a do tego choć on krwisty żywiol, ale on zakon Boży szanuje. Kiedy konia podrze, tak po sobie ścieg i krew po-

zostawi, bo takie ma przykazanie, a psi leśne, żeby ich na rojsty, to żadnego ściegu nie pozostawią po sobie, tylko latem ziemię, a zimą śnieg nastrzępiwszy się wkoło, a innego znaku nie ma.

– Ale dobrze – spytał ponownie dziadek – czy ktoś widział psy leśne?

– Ajej, panoczku, ze starszych tak wiele widziało: i stary Mintowt z Mintowcuszek, i Ulczycki z Pojejsiacia, i sam Rewkowski, co u pana teraz w majątku Powieżyniec [Powiażyńcie] swoich lat dożywa... Ludzie, co widzieli, gadają, że oni żyją na gałęziach, na jedlinach, przyczaiwszy się pod kolor, bo sierść mają zieloną, długą, a mordy tak trochę do człowieka podobne.

– A Wincentemu zdarzyło się kiedyś widzieć?

– Słyszeć, panoczku, tak, słyszałem, a widzieć, chwała Bogu, tak nie przyszło się. Raz tylko pamiętam, w powstannym roku widziałem, jak cości było przeciągnąwszy nad puszcza, a ludzie gadali, co psi leśne padlinę wietrzą.

Dwór antołomieski stał na wzgórzu, na wzniosłym brzegu jeziora Laumesta, pokrytym zarośniętym, zapuszczonym parkiem, opuszczającym się do samej wody. Dwór był stary, wrośnięty w ziemię, oparty wstydliwie o ciemną ścianę jodeł. Ongiś musiało być tam ludno i zamożnie: świadczyły o tym rozwalone ściany jakichś murowanych budowli i ruiny gorzelni. Sąsiadowali z nami o miedzę, ale w Syłgudyszkach niechętnie mówiono o dziedzicach Antołomieścia. Nie wiadomo było, skąd przybyli, jak długo tam siedzieli, co robili?

W czasach mojego wczesnego dzieciństwa mieszkał tam samotnie ostatni z antołomieskich dziedziców. Nosił czapkę wojskową z czerwonym otokiem i od czasu do czasu odwiedzał naszego krewnego, starego rezydenta zwanego stryjaszkiem Feliksem. Nie dowiedziałem się nigdy o celu jego wizyt ani tematu ich rozmów. Moje zapytania stryjaszek zwykły był zbywać niechętnym machnięciem ręki. Potem wizyty ustały, ostatni z dziedziców zmarł, dwór opustoszał, jeszcze głębiej wrośł w ziemię, a szpaler jodłowy pogrzyżył domostwo w wieczny cień, przez który nie przenikał żaden promień słońca.

Dzierżawca mieszkał w sąsiedniej oficynie, nie troszcząc się wcale o to, co działo się we dworze, więc parę razy zakradałem się pod dwór

w Antołomieściu. Mimo że był oddalony tylko o parę wiorst od naszych Sylgudyszek, zmuszałem się do tych wypadów, traktując je jako próbę odwagi, ale nigdy nie zdobyłbym się podejść tam o zmroku. Było bowiem coś dziwnie nieprzyjemnego w całej atmosferze tego pustkowi; jakiś dziwny smutek, jakiś przyczajony lęk wiał z każdego zakątka tej siedziby.

Wśród włościan dwór również nie cieszył się dobrą sławą. Nikt z okolicznych chłopów nie lubił przejeżdżać nocą w pobliżu dworu ani traktem po drugiej stronie jeziora mijając cmentarz, na którym spoczywały prochy rodziny dziedziców na Antołomieściu. Konie, przejeżdżając w nocy koło tego cmentarza, parskały lub rzucały się raptownie w bok, tak że trudno było utrzymać je w lejcach.

Mówiono, że na nowiu widziano często starego dziedzica, jak siedząc okrakiem na becze, przeprawiał się z dworu przez jezioro na mogiłki antołomieskie.

Zła opinia o dworze ciążyła nad całą okolicą i jeziorem Laumesta. Częste tam były wypadki utonięcia, a ryby nie chciały brać przynęty, co świadczyło, że i samo jezioro było zaczarowane lub ubogie.

Ze spadkobierców nikt nie zaglądał do Antołomieścia i ze zdumieniem dowiedzieliśmy się któregoś lata, że dwór jest do wynajęcia jako lotnisko.

Z wiadomości skorzystali nasi krewni, którzy planowali kilkumiesięczny remont swojego domu w Moskwie. Przed ich przyjazdem matka moja wysłała zawczasu majstrów i robotników, by uporządkować komnaty, odnowić piec i usunąć jakiś dziwny zapach z zaniedbanego domostwa.

Moja matka nie dawała wiary różnym opowiadaniom o dworze antołomieskim, ale wkrótce musiała się przekonać o słuszności krążących po okolicy plotek.

Krewni nasi nie zaznali ani jednej spokojnej nocy. Meble przesuwwały się bez szelestu z miejsca na miejsce, ktoś przewracał stronicę książek, słychać było jęki lub kroki.

Gdy pewnej nocy zegarek mojego kuzyna zleciał ze stolika nocnego i upadł z trzaskiem w dalekim kącie pokoju, a szkło się nie rozłukło i mechanizm nie uszkodził, krewni mieli dosyć Antołomieścia. Spakowali swoje rzeczy i przenieśli się na parę tygodni do nas.

Potem Antołomieście wystawione było na sprzedaż i ojciec chciał na być ten folwark dla zaokrąglenia granic. Było już blisko zawarcia aktu

kupna, gdy pewnego wieczoru przyszedł do dworu w Syługudyszkach sędziwy Jan Trykuń, gospodarz z sąsiedniej wsi, dawny zaufany sługa mego dziada.

Nie zastawszy rodziców, powiedział do mnie:

– Paniczu, słyszałem, że starszy pan chce kupić Antołomieście. Jestem waszym starym, oddanym sługą, więc powiem jedno: niech was ręka boska strzeże od tego kupna. Tam wielkie nieszczęście leży w tym dworze, tajemnicy teraz wyjawiać nie mogę, ale gdy przyjdzie czas, opowiem wszystko starszemu panu.

Po paru dniach stary Jan posłał po mojego ojca, nie mogąc sam, ze względu na osłabienie, przyjść do dworu. Co tam mówili, nie wiem, ale ojciec mój przez kilka następnych dni chodził dziwnie zadumany i smutny.

Pan Bóg bronił mnie od złych duchów. Dlatego lubiłem jeździć do kościoła i niedzielne nabożeństwa nie były dla mnie nudne. Były to spotkania z Kimś niewiarygodnie silnym.

Msze odprawiane były po łacinie, tylko kazania wygłaszano to po litewsku, to po polsku, mogłem więc oddawać się własnym rozmyśleniom o Bogu, który broni i również karze. Kształtowało to we mnie nie tylko poczucie sprawiedliwości, ale i poczucie bezpieczeństwa.

Nasz parafialny kościółek w Kukuciszkach był drewniany i z trudem mógł pomieścić zaledwie nieznaczną część wiernych. Reszta modliła się pod gołym niebem w ogrodzeniu kościelnym, w cieniu starych lip.

Z trudem przedostawaliśmy się przez zatłoczoną zakrystię do naszej ławki z prawej strony ołtarza. Wśród tłumu wiernych starałem się dostrzec moją chrzestną i pana Horodyskiego z Horodyczewa, bardzo staro-ego mężczyznę, który za młodu był oficerem napoleońskim.

Działało to bardzo na moją wyobraźnię, zapominałem o wszystkim i wytyęzałem wzrok, aby go dojrzeć. Klęczał zawsze pobożnie w tłumie i tylko od czasu do czasu wśród pochylonych głów zajaśniała na chwilę jego czupryna. Gdy kończyło się nabożeństwo i ludzie tłumnie wychodzili z kościoła, ciągnąłem moją babkę lub matkę, by mógł przejść koło nas, oddając nam ukłon wojskowy.

Którejś jesieni pojechałem z dziadkami do Kukuciszek na pogrzeb pana Horodyskiego.

Był to cichy, słoneczny dzień. Po polach snuły się już pajęczyny, a drzewa stały nieruchomo w swej jesiennej krasie, z purpurą klonów i dębów, i z pozłotą brzoź.

Narodu nagromadziła się wielka moc. Przyszli ludzie z sąsiednich parafii: z leśnych Łabonar, górzystych Tawrogin i z dalekich Łyngmian, a nawet aż spod Uciany i Owanty.

Zjechali się też sąsiedzi i krewniacy zmarłego: przyjechali sędziwi bracia Bronisze i pan Kurmin ze Skuduciszek, i pan Butler z Sugint, i pan Stefan Jałowiecki z Jassan, i pan Romuald Malecki z Sidoryszek.

Ksiądz skończył obrzędy, posypały się grudki ziemi na trumnę, zaczęto zasypywać dół.

Jeden ze starszych panów przemówił w serdecznych słowach, wspominając życie i zasługi zmarłego, a białowasy Wincenty Trykuń, gospodarz ze wsi Trykuny, powstaniec 63 roku, po litewsku opowiedział, jak to pan rotmistrz Horodyski ludziom pomagał i ratował ich w czasie powstania.

Nad mogiłą umocowano wysoki krzyż z Męką Pańską, a poniżej zawieszono mały krzyżyk na czerwono-granatowej wstążeczce. Dziadek ze wzruszeniem pokazał mi ten krzyżyk, zaznaczając, że nazywa się *Virtuti Militari* i nadawany był w państwie polskim.

– W państwie polskim? – zapytałem ze zdziwieniem.

Co niedzielę po nabożeństwie śpieszyłem się też, by zobaczyć się z moją chrzestną. Czekala na mnie przy swojej dobrze okutej i pięknie wymalowanej nietyczance, zaprzęgniętej w parę okrągłych jak ogórki mierzynków.

W rodzinie mojej przestrzegano tradycji, aby jednym z rodziców chrzestnych był wieśniak z sąsiednich wsi. Chłopca trzymała do chrztu gospodyni, a dziewczynkę gospodarz. Moją chrzestną była wdowa Weronika Peledas, zamożna gospodyni ze wsi Peledy.

Zjawiała się w kościele przybrana w całej krasie litewskich samodziółów, z jedwabną chustą na głowie i ciężkim sznurem koralu. Miała włosy jasne jak len, niebieskie oczy i piękną twarz. Mateusz, nasz stary stangret, zazwyczaj patrzący z wysokości swego kozła z dużą pobłażliwością na zgromadzonych przed kościołem parafian, względem mojej chrzestnej zachowywał wielki szacunek i zwykł był mówić:

– Chrzestna panicza to akuratna i sławna gospodyni na całą para-

fię kukuciską, a kiedy przystroi się na odpust do kościoła, to paniczu... wprost alleluja.

Lubiłem bardzo moją chrzestną, gdyż była pogodna, miła i nieraz służyła mojej matce radą w różnych drobnych kłopotach gospodarstwa domowego.

Uciekałem również do chrzestnej, kiedy chciano mnie ukarać. Mieszkała w obszernej, ładnie ozdobionej, krytej słomą chacie z ganeczkiem porośniętym dzikim winem. Izby były czyste, zawsze dobrze wymiecione i posypane tatarakiem. Pachniało wypieczonym chlebem, ziołami i miodem.

Chrzestna nazywała mnie zawsze z litewska po imieniu w trzeciej osobie. Słuchała moich skarg uważnie, ale nigdy nie brała mojej strony i często dawała mi takie pouczenie, które bardziej kształtowało moją katolicką postawę, niż zrobiłby to jakikolwiek katecheta.

– Czy to Pan Bóg dał człowiekowi wolę, aby go każdy za nos wodził? – pytała, gdy zrobiłem coś złego. – Szczupak w naszej Żejmianie, tak on płynie swobodny w jedną i drugą stronę, a, za przeproszeniem, słoma czy kawał drzewa płynie tam, gdzie prąd poniesie.

Gdzieś daleko za jeziorem zerwała się piosenka, odbiła echem o powierzchnię wód i zamilkła w powietrzu ostatnia zwrotka:

Sejou rutu, sejou metu  
Sejou ir leleju...

Miało się ku wieczorowi. Uzbierałem po brzegi dwa kosze grzybów, nie jakichś tam opieńków, jedliniaków czy maślaków, ale pełne kosze prawdziwych borowików i aromatycznych, sosnowych rydzów. Włosy i ubranie pokryła pajęczyna z igliwem, a twarz i ręce umorusane były grzybami. Wdychałem pełną piersią powietrze wieczorne pachnące sośniną, uwiędłymi liśćmi i mchem.

Zakończyłem grzybobranie. W oczach migotały mi wciąż rydze ukryte w igliwiu, aż w głowie się kręciło. Wyszedłem wreszcie z zagai sosnowych uroczyiska Paramawitież na wysoki brzeg Jesiaty. W dole lśniła zielonawa toń jeziora, na której słońce, zachodząc, kładło ostatnie blaski. Stałem oczarowany pięknnością widoku i kolorytem wczesnej, litewskiej jesieni.

Następnego dnia miałem jechać do szkół w Petersburgu.

W Petersburgu mieszkali na stałe moi rodzice, więc nie obawiałem się tego wyjazdu. Było mi jednak niesamowicie smutno.

Skoro świt, następnego dnia, uczepiony ręki zacnego pana Erazma Downarowicza, rządcy Syłgudyszek, olbrzyma o łagodnych, niebieskich oczach i złotym sercu, wyjeżdżałem z folwarku Powieżyniec, gdzie akurat zaczynano kopać ziemniaki.

Poranek był jasny i cichy. Szron trzymał się jeszcze na murawie. Liście bez szelestu opadały na ziemię. Mgła stała nisko w dolinach. Nad ziemią snuły się już dymy z ognisk, na których robotnicy rolni piekli kartofle. Pachniało zwiędłą łąciną i dymkiem.

Poczułem ogromną miłość do tej ziemi i niechęć do wyjazdu do miasta.

Z kieszeniami napchanymi pamiątkami z Syłgudyszek, a więc z flaszczyką napełnioną wodą z Jesiaty, pękiem włosów wyciętego z ogona mojego kuca Dukata, kozikiem i jakimiś sznurkami, usadowiłem się na kozle obok starego Mateusza i ruszyliśmy w drogę. Jechaliśmy gościncem leśnym na Podłaboszkę, Wasiliszki, Kołtyniany, aż wreszcie wyrzuliśmy się z lasów na szeroki trakt przecinający kolej pod stacją Nowoświęciany [Nowe Świąciany].

Z głową przepelnioną wspomnieniami z domu, usiadłem na swoim miejscu w wagonie i zasnąłem snem twardym, zmęczony tęsknotą, podróżą i monotonnym stukaniem pociągu. Przez sen słyszałem początkowo jeszcze gwizd lokomotywy lub przeciągły dzwonek na jakiejś małej odludnej stacyjce, a potem wydało mi się, że słyszę głosy psów: chrapliwy bas Fagociuty i dyszkant naszej Lutni ze sfory gończej z Syłgudyszek. Głosy się oddalały. Psy pognały gdzieś daleko w lasy wizuńskie, a mnie śniło się dalej, że stałem na przesmyku w Morgowanui, na brzegu głębokiego jaru przecinającego bory łabonarskie. Spadł śnieg, powietrze było miękkie, pachniało odwilżą, psy trzymały dobrze trop. Krótki szary dzień zimy miał się ku końcowi. W lesie panowała głucha cisza, przerywana skrzeczeniem sójki przelatującej na gałęzie sąsiedniego dębu lub krakaniem wron ciągnących ponad borem na nocleg.

Nagle usłyszałem w gęstwinie jakiś szelest, zamajaczyło coś czerwonego. Na polanę wysunął się cicho lis i z kitą wyciągniętą w jedną linię sunął w stronę jaru, o jakieś czterdzieści kroków ode mnie. Krew uderzyła mi do głowy. Całą siłą woli opanowałem nerwy, wziąłem lisa na muszkę,



zakładając jak się należy, i pociągnąłem za spust. Lis zrobił jeszcze parę kroków, zatoczył się i padł bez ruchu. Oniemiałem z radości. Oprzytomniałem dopiero, gdy usłyszałem tuż przy sobie ujadanie sfory gończych, które w każdej chwili gotowe były rozszarpać mi zdobycz. W ostatniej chwili zdołałem uchwycić lisa za tylne łapy i unieść w górę.

Psy skakały koło mnie coraz natręczywiej, ale z gęstwiny wynurzył się pan Boluta Brzeziński z Trombaciszek, właściciel Fagociuty i większości tej psiej kompanii. Odegnął psy, zagrał na trąbce pogrzebowego, obejrzał dokładnie zdobycz i po namyśle umaczał palec w posoce lisiej i wysmarował moją twarz.

Potem zajechaliśmy do naszego dworu. Byłem głodny i z rozkoszą zasiadłem do dobrej porcji smażonej po litewsku świeżej kiełbasy pachnącej majerankiem i cebulą oraz bigosu, do którego dziadek dołał osobiście kilka kieliszków wina.

Ogarnęło mnie miłe uczucie. Jakżeż błogo po dniu spędzonym w lesie było rozciągnąć się w miękkiej, czystej, pachnącej ziołami pościeli i zasnąć, aby nad ranem usłyszeć, jak służba zapala w piecu, jak trzaskają w ogniu smolne łuczywa.

Już dnieje, ale pokój tonie jeszcze w mroku. Ogień z pieca rzuca czerwone światło i gra blaskami po ścianach. Drzwi się otwierają i wchodzi Tomasz, niosąc tackę z pachnącą kawą i garnuszką gęstej śmietanki, półmiskiem pełnym różnych wędlin i serów oraz rumianymi bułeczkami.

Ranek obudził mnie w Gatczynie, ostatniej stacji przed Petersburgiem. Z trudem wyrwałem się z tego snu, ale nie było już czasu na rozpamiętywanie, pociąg wtoczył się na niską równinę. Osiedla zaczęły się zagęszczać, wreszcie z mglistej dali wysunęły się kontury Petersburga.

Dom nasz w Petersburgu stał na wyniosłym brzegu Newy, na trakcie łączącym Petersburg z Twierdzą Szlisselburską i jeziorem Ładoga.

Po drugiej stronie szerokiej, majestatycznej rzeki czerwieniały mury osady fabrycznej, a dalej jak okiem sięgnąć ciągnęły się tundry i lasy aż hen, ku wybrzeżom Morza Białego.

Za naszym domem i parkiem widać było zabudowania Aleksandrowskich Zakładów Budowy Parowozów i Wagonów, największych w owym

czasie w całym państwie rosyjskim. Mój ojciec był dyrektorem naczelnym tych fabryk.

Przedtem rodzice moi mieszkali nad Mojką i tamtego domu sięgają moje najstarsze wspomnienia z dzieciństwa, to jest śmierć cara Aleksandra II<sup>3</sup>.

Stoi mi w oczach wysoka postać mojego ojca, wówczas pułkownika inżynierów wojennych, w szerokim płaszczu mikołajewskim, z hełmem ozdobionym białym pióropuszem na głowie. Spod płaszcza wyglądały palone buty z ostrogami i ciężki pałasz w metalowej pochwie.

Przed domem stały sanie pokryte niedźwiedzią skórą, a stangret, którego imienia już nie pamiętam, na wyciągniętych z ruska rękach, z trudem przytrzymał parę czarnych, orłowskich kłusaków przebierających niecierpliwie nogami.

Mój ojciec, mimo udziału w powstaniu 63 roku, zachował pewien sentyment dla osoby Aleksandra II, sentyment, który, jak zauważyłem, podzielali ci, którzy zetknęli się z carem przed powstaniem, a przede wszystkim byli wychowañcy Mikołajewskiej Szkoły Inżynierów Wojennych i Akademii Inżynierów Wojennych. Większość podchorążych tych szkół to byli Polacy, przeważnie z Litwy lub Białorusi.

W okresie poprzedzającym powstanie na korytarzach tych uczelni słychać było więcej mowy polskiej niż rosyjskiej. Aleksander II sam mówił dość płynnie po polsku, zwykł był zwracać się do polskich podchorążych w ich języku. Mając słabość do młodzieży polskiej, otaczał dużą opieką oba zakłady i był ich częstym gościem.

W czasie manewrów, w roku poprzedzającym powstanie, gdy Szkoła Inżynierów Wojennych bardzo umiejętnie i szybko przerzuciła pontony przez rzekę Nową pod Petersburgiem, Aleksander II, stojąc na wysokim brzegu, zachęcał pracujących w dole podchorążych okrzykami po polsku: „Dobrze, chłopcy”.

Powstanie znacznie przerzedziło szeregi podchorążych. Wielu zginęło, wielu emigrowało za granicę. Ojciec mój, ciężko chory, dostał się w pierwszych dniach wybuchu powstania do niewoli i jedynie dzięki wstawiennictwu naszych rosyjskich krewnych, książąt Trubeckich i Woł-

---

<sup>3</sup> Aleksander II Romanow, ur. w 1818 r., cesarz Rosji od 1855 r., zginął 13 marca (1 marca starego stylu) 1881 r., zabity przez zamachowca z rosyjskiej organizacji Narodna Wola (przyp. MZ).

końskich, został ulaskawiony i jako prymus otrzymał pozwolenie ukończenia studiów.

Aleksander II do końca życia zachował żal do Polaków za powstanie, a szczególnie do wychowawców szkół inżynierów wojennych. Podkreślał często, że Polacy własną ręką przekreślili wszelkie możliwości poprawy swego statusu politycznego, i to w przededniu daleko idących reform.

Opowiadał mi ojciec, że Aleksander II nie mógł przeboleć skazania na śmierć inżynierów wojennych: kapitana Sierakowskiego, poruczników Maleckiego i Staniewicza.

Szkoła i Akademia Inżynierów Wojennych mieściły się w dawnym pałacu cara Pawła I, położonym samotnie wśród rozległego parku nad brzegiem rzeki Fontanki. Był to olbrzymi budynek z szarego granitu otaczający z czterech stron dziedziniec zamkowy.

Historia tego gmachu, związana z tragiczną śmiercią cara Pawła I, zamordowanego tam przez grupę spiskowców, wśród których znajdował się późniejszy car Aleksander I, interesowała mnie bardzo, gdyż podobno duch Pawła I miał się często ukazywać nocą w korytarzach zamkowych. Z tej zapewne racji weszło w tradycje szkoły pełnienie nocnej warty po dwóch.

Ojciec, pod wpływem moich ciągłych pytań o Akademię, zabrał mnie kiedyś do tej szkoły.

W wielkiej sali, tak zwanej aktowej, na marmurowej tablicy z wypisanymi nazwiskami prymusów szkoły, z dumą i podnieceniem przeczytałem pod rokiem 1865 nazwisko mojego ojca.

Wśród inżynierów pracujących w Zakładach Aleksandrowskich było wielu Szkotów i Polaków.

Szkoci w owych czasach tworzyli w tej części Petersburga potężną a zamożną kolonię przemysłową. Posiadali ogromne przedsiębiorstwa, jak Newska Manufaktura, czy sławną w całej Rosji fabrykę sukien Tortona oraz papiernie i wielkie browary.

Wysoki płot oddzielał naszą posesję od sąsiadującej z nami parafii szkockiej. Szkoci, jak wszyscy Anglosasi, żyli własnym, zamkniętym życiem, izolując się od otoczenia i patrząc z wysoka na Rosjan, z którymi mało utrzymywali kontaktów, szczególnie w życiu prywatnym.

Na osiedlu Aleksandrowskim Szkoci zorganizowali własny klub, posiadali swoje place tenisowe, żaglówki na rzece, swoje sklepy kolonialne, swoje piekarnie, no i rzecz oczywista własną parafię ze szkockim kościołem i angielską szkołą.

Pastorem szkockim, a zarazem kierownikiem szkoły był wielebny David L. Key. Do pomocy miał miłą, przystojną brunetkę z Edynburga, miss Mary Logan.

Za namową babki i dzięki jej szkockiemu pochodzeniu, rodzice oddali mnie do tej szkoły, gdzie miałem odebrać podstawowe wykształcenie i nauczyć się języka angielskiego. Spędziłem w niej dwa lata. Szkoła była koedukacyjna, tak że sąsiadowałem z małą, niebieskooką Lucy Maxwell, córką zamożnego właściciela przedzalni. Lucy była najmilszą towarzyszką mego dzieciństwa. Uczyliśmy się i bawili wspólnie, a ja zapalałem do niej gorącą, pierwszą miłością. Lucy to wykorzystywała. Nie było bowiem rzeczy, której bym dla niej nie zrobił. Odrabiałem jej zadania i obdarzałem najcenniejszymi skarbami, jak rzadkie znaczki pocztowe lub cenione w tym czasie pierwsze stalówki aluminiowe.

Chłopcy natomiast mnie razili, bo nie mogłem się przyzwyczaić do, jak później się przekonałem, częstego u Anglosasów donosicielstwa i skarżenia, kłamstw oraz absolutnego nieprzyznawania się do własnych win, ze skłonnością do spychania ich na innych. Lucy na pewno była do nich podobna, ale w Lucy się kochałem i dzięki niej lubiłem tę szkołę.

Pewnego dnia matka, przeglądając moje zeszyty, z niemałym zdziwieniem odkryła w jednym z nich wypisane atramentem na każdej stronie imię Lucy.

Niestety, w następnym roku zmuszony byłem do przejścia do rosyjskich szkół rządowych.

Liceum Cesarskie w Petersburgu, w którym zapisano mnie na wydział konsularno-ekonomiczny, mieściło się w długich, wymalowanych na różowo gmachach przy prospekcie Kamiennieostrowskim.

Dwóch majestatycznych szwajcarów, w czerwonych płaszczach z pelerynami, obszytymi na brzegach orłami cesarskimi, dobrodusznie witało wkraczającą do szkoły młodzież.

Ubrany w mundur z czerwonymi obszywkami na kołnierzu i man-

kietach i w granatowych, długich spodniach stałem codziennie przez lat parę w szeregu „pieriekliczki”, czyli apelu.

Pierwsze tygodnie w liceum były dla mnie udręczeniem, otoczenie kolegów Rosjan było jakoś nad wyraz obce, a z nauczycieli nienawidziłem szczególnie Walerego Andriejewicza Czewakińskiego, nauczyciela historii, który nie lubił mnie wyraźnie, bo czułem się Polakiem i byłem katolikiem. Jego głos:

– Pieriejaslawskij, pożałujcie k doskie (proszę do tablicy) – prześladował mnie na każdej lekcji.

Czasy panowania Aleksandra III wyryły głęboki ślad na stosunku Polaków do Rosjan. Za jego panowania tępiono systematycznie wszystko, co miało najmniejszą styczność z polskością i wiarą katolicką.

Na ścianach urzędów rosyjskich, na stacjach kolejowych w Królestwie, na Litwie, na Białorusi, wisiły ogłoszenia zabraniające używania polskiej mowy.

W szkołach język polski tępiono bezlitośnie. Młodzież szkolna rozmawiała pomiędzy sobą szeptem, w stałej obawie podsłuchu przez pedla, którego donos w tej sprawie do pana inspektora kończył się z reguły wydalaniem ze szkoły.

Po wsiach urządzano obławy i rewizje u chłopów w celu wykrycia tajnych szkółek i elementarzy przemycanych z Prus Wschodnich.

Duchowieństwo katolickie prześladowano również na każdym kroku. Księżom nie wolno było wydalać się z granic parafii bez zezwolenia powiatowego naczelnika policji.

Za podparcie walącego się ze starości krzyża przydrożnego, za postawienie nowego, za reperacje dziurawego dachu na kościele bez zezwolenia generała-gubernatora, groziło zesłanie na Syberię lub w najlepszym razie do guberni w środkowej Rosji.

Za czasów szkolnych mało miałem sposobności do bywania w Wilnie, ale w czasie rzadkich bytności w tym mieście starałem się głośno i ostentacyjnie mówić po polsku i ironicznie patrzyłem na policję, która nie ośmielała się zaczepić ucznia Liceum Cesarskiego z Petersburga lub zwrócić mu uwagi.

Pewnego jednak razu, odwiedzając z matką krewnych naszych w Wilnie, trafiliśmy na przykre zdarzenie. Kuzyna mego, ucznia ostatniej klasy gimnazjum wileńskiego, wydano ze szkoły na skutek doniesienia

gimnazjalnego pedla, który jakoby słyszał, jak kuzyn rozmawiał na ulicy głośno po polsku, krytykując przy tym stosunki szkolne.

Biedny chłopak zmuszony był przenieść się do jednego z dalekich, położonych na wschodzie miast gubernialnych, aby zdać maturę i użyć prawa do wstąpienia do wyższego zakładu. Stracił przez to rok cały.

Trząsałem się z oburzenia i po powrocie do liceum nie omieszkalem opowiedzieć o tych prześladowaniach moim kolegom.

Był w naszej klasie chłopiec, syn gubernatora jednej z guberni Królestwa, którego rodzina nie należała do naszej sfery, a jego ojciec prawdopodobnie typową dla niskiego pochodzenia służalczą doszedł do tego stanowiska. Chłopiec ten był powszechnie nielubiany za swoją arogancję i brak umiaru, co tłumaczyliśmy między sobą jego „chamskim”, jak to nazywaliśmy, pochodzeniem.

Naturalnie wtrącił się do naszej rozmowy, że Polacy to „buntowscy”, kanalie, które nie zasługują na lepsze traktowanie. W klasie zaległa cisza. Byłem jedynym Polakiem. Jednak kilku rosyjskich chłopców, czerwonych z oburzenia, z zacisniętymi pięściami zbliżyło się do oszczercy. W tej samej chwili otworzyły się drzwi i do klasy wkroczył generał Szylder, dyrektor liceum wykładający w starszych klasach historię. Rozejrzał się i spytał o powód wzburzenia. Zgodnie z tradycją liceum cała klasa milczała, tylko wszystkie oczy utkwily na twarzy winowajcy.

Generał szybko wywołał go do tablicy i rozkazał, aby wyjaśnił powód.

Winowajca, czując nasz wzrok, był zmuszony do powtórzenia wobec całej klasy słowo w słowo uwag o Polakach.

Generał się zasepił.

– Słuchaj – rzekł, patrząc na niego ostro – widzę, że nie rozumiesz, gdzie się znajdujesz. To jest Liceum Cesańskie... Szkoła dla dobrze wychowanych i przyzwoitych młodych ludzi, a nie chamów.

Ostatnie słowa podkreślił dobitnie i mówił dalej:

– Zakład nasz ma na celu wychowanie młodzieży na gentlemenów, a nie donosicieli i prowokatorów. Powiniennem być ciebie wydalić z liceum, nie zrobię tego jednak ze względu na przykrość, jaką bym zrobił twojemu koledze, kniaziowi Pieriejasławskiemu. – Po raz pierwszy użył tytułu w stosunku do mnie, jakby starając się przypomnieć tamtemu, że obowiązują tutaj reguły sfery, do której jego rodzice nie należeli.

– Pozbawiam cię niedzielnych urlopów na okres miesiąca, abyś za-



Wspomnienia Mieczysława Jałowieckiego (1876–1962) czyta się jak pasjonującą powieść.

Autor urodził się w rodzinie osiadłej na Wileńszczyźnie, a wywodzącej się z ruskich kniaziów Pieriejasławskich-Jałowieckich. Za sprawą wielkiej historii żył w kilku epokach, był świadkiem doniosłych przemian politycznych, ustrojowych i obyczajowych. Należał do kresowego ziemiaństwa i być może do ostatniego pokolenia, dla którego duchową ojczyzną było dawne, wielonarodowe Wielkie Księstwo Litewskie. Jednocześnie – aż do rewolucji rosyjskiej 1917 r. – przynależał do zamożnej i uprzywilejowanej warstwy imperium carów. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości został w 1919 r. pierwszym przedstawicielem rządu Rzeczypospolitej w Wolnym Mieście Gdańsku. Później na kilkanaście lat osiadł w majątku ziemskim w Kaliskiem. We wrześniu 1939 r. zdołał wyjechać z Polski; zmarł na emigracji w Anglii, gdzie spisał wspomnienia o świecie, który nieodwracalnie przeminął.

Będąc baczny obserwatorem, a niekiedy aktywnym uczestnikiem historii, Jałowiecki daje czytelnikowi okazję przyjrzenia się z bliska życiu różnych środowisk i różnym wydarzeniom. I jest to lektura różnaita: opowieści o dworach zagubionych wśród litewskich borów przepętnia nostalgia, ale wątek rywalizacji wywiadów w wojennej Rosji czy epizody gdańskie z lat 1919–1921 są godne powieści sensacyjnej. Uzupełnienie barwnych wspomnień stanowią komentarze Autora, bardzo subiektywne, pisane z patriotycznym zaangażowaniem, często niezwykle gorzkie, a czasem zaskakująco aktualne.

Wspomnienia przygotował do druku wnuk Autora, mieszkający dziś w Australii. Publikowany obecnie tom obejmuje teksty trzech książek: *Na skraju Imperium* (2000), *Wolne Miasto* (2002) i *Requiem dla ziemiaństwa* (2003), których pierwsza edycja cieszyła się ogromnym zainteresowaniem czytelników.

ISBN 978-83-07-03278-8



9 788307 032788 >

[www.czytelnik.pl](http://www.czytelnik.pl)